

Andrzej Domagalski

Kraków

Artyści studenckiej Muzy

OLEK GROTOWSKI

Kompozytor i piosenkarz, związany był z wrocławskim środowiskiem kabaretowym i tamtejszym Studiem 202. Od zawsze śpiewający śmieszne, satyryczne piosenki do tekstów Andrzeja Waligórskiego oraz, w ostatnich latach, Artura Andrusa. Najbardziej znane były te wykonywane w duecie z nieżyjącą już Małgosią Zwierzchowską. Piosenki niezmiennie śmieszne, bo posiadające walor ponadczasowości, dzięki talentowi Waligórskiego i niezwyklej umiejętnościom kompozytorskim i interpretacyjnym Olka Grotowskiego.

Po prostu Olek. Urodzony we wrześniu 1952 roku w Gdyni, do 7. roku mieszkał we wspólnym mieszkaniu z rodziną emigrantów greckich.

– Główną rozrywką pani Kalafatis było puszczenie bardzo głośno greckich płyt, tak że niezależnie od naszego „kołchoźnika” z Chórem Aleksandrowa i muzyką ludową innych bratnich narodów, miałem sporo ciekawych wzorców. Lubiłem śpiewać i usiłowałem grać na prostych dziecięcych instrumentach – wspomina gdyńskie lata piosenkarz, mieszkający od 7. roku życia w Gdańsku. Na początku Olek Grotowski grywał na mandolinie, naśladowując ojca.

– Któregoś dnia mój kolega z podwórka dostał gitarę i wracając z lekcji, grał na klatce schodowej. Oszalałem na punkcie brzmienia gitary i wygodniejszych progów niż na mandolinie. Już po roku uciułałem

615 zł, błagając rodzinę o pieniądze, zamiast prezentów, na gitarę. Zakup nastąpił w lipcu 1966 roku w Gnieźnie.

W gdańskim Technikum Budowy Okrętów bardziej niż nauka interesowała go gra na gitarze, na obozach żeglarskich bywał „zapiewająką”.

– Już wtedy bawiło mnie – wspomina – wykonywanie piosenek z dowcipnym tekstem, gdzie nie trzeba było się drzeć, a tylko interpretować słowa. Zwróciłem uwagę na Tadeusza Chyłę, którego repertuar mnie wręcz zafascynował, jego piosenki z tekstami Andrzeja Waligórskiego były mistrzowskie. To był mój pierwszy wokalny idol. Pozostał drobny problem: jak odnaleźć autora? W 1972 roku wyznaczyłem sobie trzy cele: zdać maturę, dostać się na fizykę i zdobyć adres Waligórskiego. Cele zostały osiągnięte, choć z fizyki zrezygnowałem, i to dwa razy. Zatrudniłem się m.in. w pierwszej lepszej firmie, która przyjmowała do pracy elektryków, i przez półtora roku kopałem na przykład rowy pod kable wysokiego napięcia, po pracy grając godzinami na gitarze.

Niedoszły fizyk w 1972 roku poznaje swojego mistrza, zapotrzebowanie na piosenki z tekstami Waligórskiego skutkuje w jego przypadku m.in. nagrodą na Ogólnopolskim Turystycznym Przeglądzie Piosenki Studenckiej Bazuna’74 i YAPIE’75, podczas których Grotowski śpiewał teksty Andrzeja Waligórskiego z własną muzyką. Przyniosło to wielką popularność gdańskiemu artyście:

– Tylko w lipcu 1975 roku zagrałem 38 koncertów, w innych miesiącach nieco mniej, ale i tak byłem nieraz zmęczony. Mniej więcej w tym czasie trafiłem do Krakowa do klubu „Nowy Żaczek”, gdzie kierownikiem był Staszek Pietraszko, a zastępcą programowym Tadek Skoczek. Kiedy ten ostatni przeniósł się do „Rotundy”, zostałem tam oficjalną „grupą twórczą”. W styczniu 1976 roku zdobyłem nagrodę indywidualną na zakopiańskim Turnieju Kabaretów o Złote Rogi Kozicy i to jeszcze bardziej podkręciło sytuację.

– Adres Waligórskiego ustaliłem w ten sposób, że gdy zorientowałem się, że Andrzej ma coś wspólnego z Wrocławiem, pojechałem tam z Gdańska autostopem i na miejscu zasięgnąłem języka. Okazało się, że radiowego felietonu Andrzeja o ósmej rano słucha cały Wrocław i wszyscy go uwielbiają, nie tylko ja. W radiu Andrzeja nie zastałem, ale miałem już jego namiar i po powrocie do Gdańska napisałem do niego list.

Odpowiedź nadeszła zaskakująco szybko. Andrzej zaprosił mnie do swojego domku w ośrodku AWF Wrocław w Oleśnicy, gdzie gościł u studentów w drugiej połowie sierpnia 1972, tak zaczęły się nasze dwudziestoletnie kontakty, zakończone jego nagłym odejściem 10 maja 1992 roku. Waligórski pisał ogromne ilości tekstów, z których wybierałem najwyżej co dziesiąty, a i tak nie każdy z nich wykorzystywałem od razu.

– Andrzej traktował mnie bardzo życzliwie. Byłem w wieku jego syna Marka i przez pierwsze sześć lat zwracałem się do niego per Panie Andrzej, nalegając by mówił do mnie po imieniu. W końcu, gdy obaj zostaliśmy jurorami na jakimś festiwaliku w 1978 roku, Andrzej zaproponował mi wypicie bruderszaftu.

Olek Grotowski był związany wyłącznie z Andrzejem Waligórskim, eksploatując teksty, które on pisał dla Studia 202 lub wrocławskich kabaretów.

– Andrzej uważał, że obszary naszych działań estradowych nie pokrywają się ze sobą i że ja mam inną publiczność niż on. Ja śpiewałem głównie dla studentów w małych klubach w całej Polsce. Andrzej nie miał czasu tam dotrzeć, mając mnóstwo spotkań autorskich na Dolnym Śląsku w zasięgu Radia Wrocław. Gdy zaczął jeździć z Elitą, występował w wielkich salach i spotykaliśmy się jako wykonawcy na tych samych imprezach bardzo rzadko. Odwiedzałem go jednak regularnie we Wrocławiu, zaopatrując się w kolejne teksty, nieraz zdjęte mu przez cenzurę radiową lub estradową. Udawało mi się przemycać te ballady na moich koncertach, na ogół bezkarnie, choć parę razy narobiłem sporo zamieszania, z przyjazdem milicji włącznie i zakazami występów, na szczęście ograniczonymi do pojedynczych województw. Przynosiło mi to więcej splendoru niż kłopotów. Stan wojenny był jednak dramatem; z braku koncertów i kasy rozpadło się moje trwające trzy lata małżeństwo.

Duet, który Olek Grotowski tworzył na scenie z Małgorzatą Zwierchowską przetrwał 30 lat, choć ich związek zakończył się 8 lat wcześniej. Piosenkarka zmarła 12 września 2013 roku, walcząc z chorobą ze zmiennym powodzeniem przez prawie trzy lata.

– Po zagranii tysiąca koncertów byłem już tym wyraźnie znudzony, wtedy pojawiła się w moim życiu Małgorzata Zwierchowska, z którą wkrótce zaczęliśmy występować jako duet. Nasz pierwszy występ miał miejsce na Giełdzie Piosenki Turystycznej w Szklarskiej Porębie w 1983

roku. Gosia dołączyła się tylko w jednej piosence, ale już wtedy ściągnęła na siebie uwagę całej publiczności. I tak już zostało. Nagraliśmy wspólnie osiem płyt koncertowych, wykonaliśmy około 2 tys. koncertów, pod koniec mając w repertuarze około 300 utworów. Zaledwie połowa naszego repertuaru została wydana na płytach, wliczając to jeszcze dodatkowo moje dwie płyty solowe.

Artysta od 2013 roku występuje solo, rzadziej jednakże niż na początku swojej działalności. Do końca 2015 roku zagrał w sumie 3 110 koncertów, przeważnie recitali solo lub w duecie z Gosią. W tej liczbie mieści się również kilkadziesiąt koncertów w latach 1998–2007 z grupą „Bez Jacka”, którą wspierał na basie (nazwa upamiętnia tragicznie zmarłego w 1983 roku Jacka Stefańskiego). W 2005 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało mu wokalną emeryturę, a dekadę później otrzymał odznakę honorową „Zasłużony dla kultury polskiej”.

Poza pięcioma nagrodami publiczności na ogólnopolskich imprezach studenckich w latach 70. minionego wieku najwyżej ceni sobie Srebrny Knebel na I Przeglądzie Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki” w hali Olivia w Gdańsku w 1981 roku:

– Wykonałem utwór *Rozmowa ministra ze studentami*, będący autentycznym tekstem strajkowym, napisanym przez studentów Politechniki Łódzkiej; tekst ten powstał w wyniku przeróbki mojej starej piosenki *W góry, w góry, miły bracie!* na *Górski, Górski, miły bracie!*, w nawiązaniu do ministra szkolnictwa wyższego Jerzego Górskiego. Śpiewałem też tekst Waligórskiego *Ballada o świętym Wojciechu*, znanym też pod tytułem *Lenin*. „Złoty Knebel” wywalczył wówczas Jan Tadeusz Stanisławski, który wykonał zamiast drugiej piosenki bardzo dobrze przyjęty monolog z powtarzającym się *a capella* refrenem „Mówiła mi mama, bym się nie bał chama”. Strajkowa piosenka studencka z Łodzi bardziej poruszyła publiczność niż *Kołysanka dla córeczki* Macieja Pietrzyka, który zdobył Brązowy Knebel. Byłem zachwycony aplauzem ze strony publiczności, zeskoczyłem z gitarą bez szwanku z półtorametrowego podium. To był niesamowity przegląd, Jacek Zwoźniak zdobył dzień wcześniej Złoty Knebel, a faworyzowany Jacek Kaczmarski, ku wielkiemu zaskoczeniu, tylko Srebrny. Skłócone środowisko pogodził dopiero stan wojenny.

– W stanie wojennym udało mi się znaleźć pół etatu w Wojewódzkim Domu Kultury w Sieradzu, gdzie zostałem instruktorem muzycznym. W 1983 roku miałem koncert dla sportowców w kinie „Piast”. Wpadłem

tam z gitarą w ostatniej chwili i od razu wszedłem na estradę. Na widowni było mnóstwo młodzieży, ale w pierwszym rzędzie siedziało kilkunastu facetów w średnim wieku. Pomyślałem, że to trenerzy albo działacze sportowi. Coś słabo reagowali na polityczne dowcipy, od których roilo się w tekstach Waligórskiego. Młodzież za to reagowała rewelacyjnie. Namawiałem ich też do śpiewania refrenów następującymi słowami:

– Zaśpiewajcie tak głośno, żeby się wystraszyli w Komitecie Wojewódzkim. Ten komitet PZPR był bardzo bliska kina. Nie wiedziałem, że w pierwszym rzędzie siedzą władze miasta i województwa, i oczywiście towarzysze z Komitetu. Gdy zaśpiewałem bajeczkę o wilku i elektrowni, sala z wyjątkiem pierwszego rzędu wpadła w ekstazę. Grubas siedzący pośrodku nie reagował kompletnie, co mnie tak wkurzyło, że powiedziałem:

– Muszę powtórzyć tę bajeczkę, bo jeden pan z przodu nie zrozumiał. Radość była ogromna. Zaśpiewałem jeszcze raz nieco wolniej: Zrobił wilk elektrownię, lecz by prąd uzyskać,/ Spalał w niej cały węgiel z kopalni od liska./Kopalnia z elektrowni cały prąd zżerała,/ Stąd brak światła i węgla. Ale system działa!

Ten facet to był wojewoda, w związku z czym szybko wyleciałem z pracy.

Piosenki o charakterze kabaretowym i poetyckim z tekstami znakomitego satyryka Waligórskiego bądź też w ostatnich latach Andrusa, opatrzone muzyką Grotowskiego, są drogocenne dla tych, którzy pragną patrzeć na świat z dystansem i śmiać się z rzeczy na pozór niezbyt śmiesznych i którzy potrafią zauważać niemal niezauważalne. Dowcipne teksty zawsze mają podwójne dno, ukryty sens, niosą ze sobą dużo życiowej prawdy. Olek Grotowski nagrał również dwie solowe płyty: *Wybór* – zarejestrowana w 1994 roku w kawiarence „Ojźlebardzo” w III Domu Studenta Politechniki Łódzkiej oraz *Portret i inne ballady Andrzeja Waligórskiego* – nagrana w 2012 roku w Studiu Koncertowym Radia Gdańsk.

Jako gitarzysta basowy nagrał z grupą „Bez Jacka” dwie płyty: *Zatańcz ze mną na polanie* – zarejestrowana w 1999 roku w łódzkiej piwnicy artystycznej Przechowalnia oraz *Do mroku naglisz mnie* – nagrana w 2002 roku w Łodzi, w Pałacyku na Siedleckiej.

Przez ponad trzy dekady Olek Grotowski gromadził materiały związane ze swoim mistrzem Andrzejem Waligórskim, a przez ostatnie trzy lata pracował nad książką *Prawie wszystko co wiem o Andrzeju Waligórskim*, która ukaże się w pierwszym kwartale 2022 roku.

PIOTR KUNCE

Piotr Kunce, rodowity krakowianin, pochodzący z artystycznej rodziny, brał udział we wszystkich ważniejszych pokazach plakatu na świecie. Jest autorem projektów ok. 400 plakatów, ok. 50 znaków graficznych (logo i logotypów). Plakat jest bowiem jego pasją. A jedne z pierwszych plakatów związane były właśnie z krakowską „Rotundą” i Studenckim Centrum Filmowym. Jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych polskich plakacistów o światowej renomie, profesorem zwyczajnym krakowskiej ASP i profesorem *emeritus* Uniwersytetu Mateja Beli w Bańskiej Bystrzycy na Słowacji.

– W czerwcu 1973 roku otrzymałem dyplom Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Mój syn Konrad miał wtedy rok. W grudniu zmarła moja ukochana matka. Ten pierwszy okres po studiach był ciężki. Nie miałem telefonu. Poszukiwałem pracy, chodząc od drzwi do drzwi różnych instytucji, oferując swoje usługi. Jakaś przetwórnia owocowa zleciła mi serię etykiet na dżemy i kompoty, strasznie zabawny facet z wąsami à la Salvador Dali z przetwórnicy owocowej w Łącku Górnej zlecał mi etykiety na wina owocowe, a ja za pomocą swoich projektów, stylizowanych na włoskie wermuty, zachęcałem do picia jaboli. Dostarczając projekty, musiałem z nim wypić co najmniej butelkę tych wspaniałości i już w autobusie powrotnym paliła mnie siarka w gardle.

– We wspomnieniach o „Rotundzie” zasadniczą rolę odgrywa mój kolega z Akademii Paweł Myślakowski. Paweł był związany z Komisją Kultury ZSP. I to z jego polecenia otrzymałem pierwsze zlecenie na plakat Ogólnopolskiego Przeglądu Grafiki Studenckiej, który odbył się w marcu 1975 roku. Plakat był dowcipny, była na nim pralka Frania użyta do druku linorytu. Cały Kraków był nim pokryty. Zwracał uwagę. Jak sądzę po latach, to, że był rozpoznawalny plus polecenie mnie przez Pawła spowodowało, że pojawiłem się któregoś dnia w „Rotundzie”, a dokładniej w Klubie Sztuki Filmowej. Dyrektorem klubu był chyba Staszek Szlezynghier.

Plakaty malowało się wtedy w skali 1:1, czyli 70 x 100 cm. Dobry brystol z DDR był naklejony na tekturę i na tej dziewiczej powierzchni przystępowało się do działania. Klub Sztuki Filmowej działał znakomicie. Ściągał na projekcje niedostępne filmy z Instytutu Francuskiego czy konsulatu amerykańskiego. Sala była zawsze pełna. Klub zamówił plakaty, w których było przewidziane miejsce na wpisywanie tytułów ko-

lejnym pokazów. I znowu moje prace pojawiały się na murach naszego miasta. Dla mnie było to bardzo ważne, bo „budowało” moje nazwisko w światku grafików.

Lubiłem przychodzić do towarzystwa z „Rotundy”. Rozmowy pogodne, wesołe, ale nie wesołkowate. Z projektem sam wędrowałem do Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk (cenzura) przy pl. Kleparskim i załatwiałem pieczętkę zezwalającą na druk. A ponieważ w tym okropnym urzędzie pracowali w większości inteligentni ludzie, to dostawałem przy okazji zgodę na format B1, zagwarantowany dla plakatów politycznych.

Mimo że byłem po studiach, zbliżyłem się wówczas, jak spóźniony kochanek, do ruchu studenckiego. Poza jednym semestrem I roku, gdy mieszkalem w akademiku w Katowicach, nie znałem życia w domach studenckich. Ten jeden semestr był oddechem po samotnym mieszkaniu w willi na Koszutce, gdzie z braku pieniędzy marzłem jak cholera, grzałem sobie ręce od świeczki, chodziłem ubrany w stary kożuszek otrzymany od szwagra. Właścicielka przychodziła i zwracała się do mnie „panie Koncy, proszę mi zapłacić czynsz”.

W akademiku dzieliłem pokój z trzema uczniami szkoły muzycznej: jeden ćwiczył na akordeonie, drugi na waltorni, trzeci na flecie, a ja nauczyłem się w tej kociej muzyce spać.

Tym bardziej „Rotunda”, wrosnięta w „Żaczka” – znany akademik z równie znanym klubem „Nowy Żaczek” – otóż „Rotunda” była, jak teraz to widzę, zjawiskiem cudownym dla kultury studenckiej. Nie było to tylko kino. To były i koncerty, i Festiwal Piosenki Studenckiej, i Krakowskie Reminiscencje Teatralne, Jazz Juniors i jeszcze inne imprezy oraz wydarzenia.

Ten czas to dobry i pogodny okres w moim życiu. W 1975 roku otrzymałem pełny etat asystenta w Pracowni Plakatu na uczelni, dużo pracowałem, co przekładało się na lepsze finansowo życie. Praca dla „Rotundy” wprowadzała mnie w rytm przygotowywania plakatów. Klub Filmowy nie był jedynym zamawiającym. W latach 80. przez trzy lata projektowałem plakaty dla festiwalu Jazz Juniors, później dla FAMY w Świnoujściu. Z nowym dyrektorem klubu Andrzejem Rosłańcem szybko znaleźliśmy wspólny język. Lubiłem przychodzić do nich i rozmawiać z Andrzejem i Aliną Piętą. Myślałem, że zostanę nadwornym plakacista „Rotundy”...

To był prawdziwy początek uczestniczenia w tym obszarze plastyki w Polsce, a może i dalej. Dla mnie zakończyła się ta przygoda w 1990

roku, kiedy wyjechałem na rok do USA, aby tam uczyć na University Connecticut w Storrs.

Po 1991 roku wszystko się zmieniło...

GRZEGORZ BUKAŁA, WAŁY JAGIELLOŃSKIE

Artysta od lat kojarzący się z piosenką studencką w jej najlepszym wydaniu, który zapisał się w historii polskiej piosenki. Jeden z tych twórców i animatorów kultury studenckiej, który stał się rozpoznawalny w kulturze ogólnopolskiej.

Nieco ostatnio niesłusznie zapominany, a jeszcze nie tak dawno bardzo popularny i lubiany artysta. Piosenkarz, autor tekstów, kompozytor, kojarzący się nade wszystko jako wokalista z Wałami Jagiellońskimi, którego to kultowego zespołu był swego czasu współzałożycielem i jednym z liderów.

– Się urodziłem w Gdańsku, 13 maja 1952 roku – ironizuje zgodnie z manierą Edwarda Stachury. Według chińskich astrologów rokiem tym rządził Smok, a na nieboskłonie panoszył się Byk. Smok i Byk – krzyżówka, która nie wróżyła spokojnego żywota. Dość powiedzieć, że z taką samą chimerą zmagał się Salvador Dali, a to musiało boleć. I stąd zapewne jego boskie szaleństwo się wzięło.

Ale nie tylko, bo jak opowiada artysta o, jakby nie było, kabaretowej proveniencji:

– Sprawcą moich wszystkich, w tym i artystycznych problemów był niewątpliwie dziad mój – Grzegorz, a dokładniej geny, którymi raczył mnie być uraczyć. Rodzinny przekaz niesie bowiem, że gdy w polu za pługiem czy tam innym prymitywnym narzędziem konia poganiał, to przyśpiewki różniste, nierzadko obrazoburcze, zwykł był na cały głos wyśpiewywać. I absolutnie nie przeszkadzała mu w tym bliższa czy dal-sza obecność niewiast, dzieci czy księdza dobrodzieja. Wtedy to pono, gdy już w robotę się nieco wciągnął, gardłowym, nieco ściszonem głosem zaczynał monotonicznie mrużyć pod nosem dzieło swego żywota: jedna dyna, druga dyna, trzecia dyna, czwarta dyna.... Dziadek do szkół chadzał (wieść gminna niosła, że nawet z samym paniczem Władysławem, późniejszym generałem Sikorskim, do jednej klasy uczęszczał, bo

Bukały w majątku Sikorskich posługiwały od zawsze), do setki więc pewnie i zliczyć potrafił, ale żadna z rodzinnych opowieści nie precyzowała do ilu dyn w tym twórczym zapamiętaniu dochodził przed pointą. – Jak się zeszedli wszystkie dyny, to mi portki z dupy zdjeny. Tak, kochani moi, tu nie ma żartów. Dziad mój Grzegorz był prekursorem. Ojcem i matką w jednym, był On! Bluesa, rapa, i hip-hopa naszego narodowego...

W 1977 roku Grzegorz Bukała ukończył studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Gdańskiej, wchodząc w posiadanie papierów na inteligenta. – Technicznego, bo technicznego, ale jednak – erudyta inaczej – komentuje. W lutym 1979 roku, po zakończeniu służby wojskowej (w stopniu rezerwowego podporucznika), podjął pierwszą, jak sam ujawnia i jak się potem okazało ostatnią pracę najemną, na etacie starszego referenta ds. jaj, kabaretu i piosenki studenckiej w Klubie Studentów Wybrzeża „Żak”. Po kilkunastu miesiącach, w lipcu 1980 roku, powziął w swoim mniemaniu dramatyczną decyzję o zajęciu się profesją twórcy i artysty estradowego w zespole Wały Jagiellońskie. Z tym kultowym zespołem występował nieomal 13 (sic!) lat (ponad 2 tys. występów), do czerwca roku 1989 roku, odnosząc sporo sukcesów. Zdobył m.in. I Nagrodę na Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie w 1978 roku za piosenkę *Wariacje na temat skrzypka Herzowicza*, a na Krajowym Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, wraz z Wałami Jagiellońskimi, nagrody: dziennikarzy w 1978 roku i publiczności w 1983 roku oraz w pamiętnym – 1981 roku, jedyną w historii tego festiwalu nagrodę „Złoty Kafel Solidarności”. A poza tym może się pochwalić: ponad milionem sprzedanych egzemplarzy płyt (w tym 2 o statusie złotej); w sumie z Wałami nagrał 3 płyty długogrające; paru tysiącami koncertów w kraju i poza granicami (m.in. USA, ZSRR, Niemcy), udziałem w wielu prestiżowych programach telewizyjnych (np. prowadzenie w duecie z Schubertem wieczoru sylwestrowego 1983/1984 w TVP 1). W 2008 roku ukazała się jego pierwsza i jak dotąd ostatnia płyta solowa *Pocztówki z Macondo*. Płyta, nominowana do Nagrody Fryderyka’2009, jest zarejestrowanym na żywo w studio radiowym im. Agnieszki Osieckiej, zaśpiewanym z towarzyszeniem 17-osobowej orkiestry, autorskim recitalem artysty. Piętnaście zawartych na niej piosenek z tekstami i połową kompozycji jego autorstwa, znakomicie zaaranżował Marcin Partyka, kierując zarazem orkiestrą.

– A zaczynałem – wspomina Grzegorz Bukała – jak wielu, w niższym segmencie usług rozrywająco-kulturalnych – piosence turystycznej. Gitara, trzy akordy na krzyż i nieskomplikowany, zapadający w pamięć i serce tekścik o wędrowaniu i malowniczym pejzażu, jako miejscu na życie i przeżycie. Te ogniskowe piosenki i zadzierzgnięte wówczas przyjaźnie, trwają i pewnie trwać będą nadal... ale to *Skrzypek Herzowicz* w szczególności, a Ewa Demarczyk jako zjawisko, niewątpliwie stali się przyczynkiem. Z jej recitalu w Teatrze Wybrzeże wyszedłem jak na haju, a vibrato z *Takiego pejzażu* mnie – kilkunastoletniego wówczas szczawia, wprawiło w stan hipnotycznej ekstazy. Do dziś, a miałem okazję podziwiać na żywo wielu najwybitniejszych artystów ze świata i okolic, nikt i nic tego koncertu nie przebiło... Kiedy więc zdecydowałem się porzucić siermiężną dolę turyst-singersa i zostać studenckim artystą w pełnym tego słowa znaczeniu, krakowski Festiwal Piosenki Studenckiej stał się dla mnie oczywistą oczywistością... Nim szacowne Jury uczyniło mnie laureatem I Nagrody, pojawiłem się na festiwalu dwukrotnie. Najpierw w charakterze widowni, aby zobaczyć i usłyszeć, o co się tam właściwie „rozchodzi”, potem sam z gitarą, by się oswoić z atmosferą (co udało się o tyle, że wyróżniono mnie dopuszczeniem do koncertu laureatów). Gdy zaś przyjechałem po raz trzeci, z moimi *Wariacjami na temat skrzypka Herzowicza* i już w towarzystwie Wałów, nieskromnie przyznam się, że lauru byłem pewien, choć nie sądziłem, że będzie to laur najwyższy (*ex aequo* z Jackiem Kaczmarskim i Waldkiem Chylińskim). Pisząc bowiem moją piosenkę, wiedziałem wystarczająco dużo o krakowskim spleenie, oczekiwaniach festiwalowej frekwencji i gustach jurorów. Nie ulega wątpliwości, że Ewa Demarczyk i gremium, które mi tę nagrodę przyznało, sprawili, że polska inteligencja techniczna na zawsze utraciła być może najwybitniejszego z gdańskich elektryków.

W temacie „Wariacji na temat...” warta przytoczenia jest anegdotka, którą autor zamieścił w jednym ze swoich felietonów:

– W sierpniu roku 1980 przebywałem na saksach w RFN. Niemiec dobrze płacił, karmił, a ja wykonywałem niespecjalnie skomplikowane roboty przydomowe, nasłuchując bacznie wieści z Warszawy, gotów w każdej chwili wracać na ojczyzny łono, by bić Moskala. Remontowałem akurat piwnicę, sporą, taką typowo niemiecką – 100 m kwadratowych w kafelkach, regałach, weki, wino, itp. itd., radio jak zawsze usta-

wione na I program Polskiego Radia, o 15.10 usłyszałem znajomy, choć od pewnego czasu niesłyszany sygnał *Muzyki i aktualności*. A zaraz po tym sygnale lektor oznajmił, wstrzymującemu dech światu, strajkującej Polsce i mnie, samotnemu gasterbeiterowi, że na fali głębokich sierpniowych przemian, cenzura wymiękła i nieprawomyślna audycja wraca na fale eteru. A skoro tak, to jedyna piosenka, jaka może ten historyczny powrót dopełnić, to ta... I co ja słyszę? Wyjmijcie skrzypce – Herzowicz, podobno gracie, jak z nut?... I co ja czuję? Duszność straszliwą, klaustrofobiczną, bo urosłem nagle do rozmiarów kolosa i ta deutsche Keller nie na moją miarę skrojona! Wypadam więc z niej na pole i drę się wniebogłose – „Rany boskie, ludzie, to ja, ich bin! To moja piosenka, meine Sing!” I co? I jajco! Wsi spokojna, wsi niemiecka, ni rodaka, ni Niemca żadnego, na zegarku 15.14 i Schluss, po ptokach! Chwila mego największego życiowego tryumfu odpłynęła bezpowrotnie i bez sensu. A na otarcie łez napisałem wówczas sobie i narodowi *Gruszę a sprawę polską*.

A potem nadszedł czas Wałów Jagiellońskich. Niezły czas... jak sam go Grzegorz Bukała ocenia, kiedy pracując, świetnie się bawiliśmy, bawiąc, niezłe zarabialiśmy, zarabiając zaś, niekoniecznie myśleliśmy o pracy. O pracy, czyli ciągu dalszym tworzenia. W naszych nowo pisanych piosenkach coraz mniej było żaru, żartu, refleksji. Lekko, łatwo i przyjemnie! PRL-owska dewiza „naszej małej stabilizacji” dopadła i nas. Ta nadmierna lekkość bytu okazała się ciężarem ponad nasze możliwości. Zwłaszcza, że po 13 latach intensywnego trwania na topie nastąpiło naturalne zmęczenie materiału. Szkoda, bo był to niezły szyld.

Autor i wykonawca niezapomnianych piosenek, żeby tylko wspomnieć ponadczasowe *Wariacje na temat skrzypka Herzowicza*, *Małą piosenkę o niebie* z muzyką Andrzeja Pawlukiewicza, poświęconą pamięci Wojtka Belona, czy też *Twój pierwszy elementarz*, śpiewany i napisany wraz z Rudim Schuberthem, Grzegorz Bukała mieszka obecnie pod Warszawą, gdzie, jak przystało na potomka znanego onegdaj Grzegorza B., oddaje się pracy twórczej. W przeciwieństwie do znamienitego przodka na niwie twórczej. O swoim aktualnym stanie ducha i materii donosi z jak zawsze nieskrywaną autoironią:

– Nie wiem, jak tam na Marsie, ale po Wałach życie istnieje! Wiem to z autopsji. Burzliwe jest ono i pełne niespodzianek, czasem z radości dech zapierające, częściej w kość do bólu dające, ot – takie sobie całkiem prozaiczne „c’est la vie”. Imałem się wielu zajęć, brałem za realizację

paru nieco szalonych pomysłów, nosiło mnie po świecie, po ludziach, po próżnicy też. I wszystko tylko po to, by wrócić do punktu wyjścia – konstatacji, że jedyne co chcę, lubię i naprawdę umiem robić, to pisać, komponować i śpiewać te moje piosenki(?).

A tryumfalny come back przede mną, bo wielcy artyści najlepiej sprzedają się pośmiertnie!

Andrzej Domagalski